



GÓRY M O G A WSZYSTKO

OŚMIERĆ WCALE SIĘ NIE
PROSZĘ. ŻYCIE MA DLA MNIE
OLBRZYMIĄ WARTOŚĆ. JAK TRZEBA,
TO WALCZĘ O NIE JAK ZWIERZĘ - MÓWI ZNANA
POLSKA HIMALAISTKA ANNA CZERWIŃSKA.

MAGDALENA STOPA: Tego roku
weszła pani jako pierwsza Polka na
Makalu. To już 8. ośmiotysięcznik
w pani kolekcji. Dwa miesiące później
podczas próby zdobycia Gasherbrum I
miała pani wypadek. Jak zatem
ocenia pani ten sezon?

ANNA CZERWIŃSKA: Makalu było
piękną przygodą, ale rodziła się ona w wiel-
kich mękach. To było już moje trzecie po-
dejście. Makalu leży na tzw. końcu świata,
dojście do bazy jest bardzo długie, karawa-
na ciężka, są problemy z tragarzami, pogo-
dą, śniegu jest po pas. Postanowiliśmy
więc z moim kolegą Jurkiem Natkańskim
aklimatyzować się w rejonie Everestu,
a potem przelecieć helikopterem od razu
do bazy pod Makalu. W bazie znajdowali
się już Włosi. To był liczny zespół i oni
głównie zakładali poręczówki. My we
dwójkę z jednym Szerpą nie poradzilibyśmy
sobie albo zajęłoby nam to dwa miesiące.
Tym razem bardzo mi zależało, żeby wszy-
stko dobrze rozegrać. I, oczywiście, jak
zwykle nic z tego nie wyszło. Z ostatniego
obozu wyruszyliśmy z Jurkiem za późno.
Powinna być trzecia w nocy, a była piąta.

Ponadto obóz znajdował się zbyt nisko,
na wysokości 7600, a Makalu ma 8468 m.
Taki dystans pokonuje się wiele godzin.
Nie zdążyliśmy dojść do szczytu przed
wieczorem. Jurek, który nie miał wystar-
czającej aklimatyzacji, zrezygnował.
Zawrócił i doszedł nocą do obozu. A ja
się uparłam, więc jak zrobiło się ciemno,
zdecydowałam zostać sama pod szczy-
tem. Wykopałam w lodowym zboczu
rodzaj grajdółka, włożyłam tam plecak
i przesiedziałam na nim 10 godzin. Bez
żadnej osłony, bez namiotu, płachty, kari-
maty, maszyny. No, po prostu na żywca.
Na szczęście noc była bardzo spokojna,
bez wiatru.

Co pani robiła, żeby nie zasnąć?

Nic, po prostu siedziałam na tym
plecaku w zaparte. Zabroniłam sobie jakie-
gokolwiek myślenia, bo jak mózg pracuje,
to zużywa tlen. Zabroniłam sobie również
patrzenia na zegarek, żeby się nie załamy-
wać. O piątej zaczęło robić się jasno,
a o piątej trzydziści ruszyłam do góry.
Zdobyłam Makalu sama, ale dzięki Wło-
chom, którzy wchodzili poprzedniego dnia,
było mi łatwiej. Szłam po ich śladach,

korzystałam też z założonych przez nich poręczówek. Ze szczytu próbowałam wywołać Jurka przez radio, ale odezwał się tylko nasz Szerpa. Umówiłam się, że jak nie dotrę do wieczora, to po mnie wyjdzie. I tak się stało. Schodząc, miałam halucynacje. Ciągle zdawało mi się, że jestem w Dolince za Mnichem. Nie miałam już czucia w dłoniach. Myślałam, że to odmrożenia i już sobie wyobrażałam, że będę teraz mieć takie łapki bez palców. Potem na szczęście okazało się, że to było z odwodnienia. Przez cały czas ataku nie tylko nie zjadłam nic, oprócz kilku cukierków, ale też nic nie piłam. W obozie nie było mnie przez 42 godziny. Pobiłam więc wszelkie rekordy, zwłaszcza rekord głupoty. Takich rzeczy zwyczajnie nie wolno robić. To biwakowanie było zupełnie nieodpowiedzialne. Gdyby pogoda się zepsuła, gdyby coś mi się stało, nikt nie byłby w stanie mi pomóc. Najprawdopodobniej właśnie tak zakończyła życie Wanda Rutkiewicz. Makalu jest blisko Kangczendzongi, na której zginęła. Może jej duch do mnie wtedy przyszedł? W każdym razie, siedząc tak sama nocą, wymyśliłam, że w przyszłym roku zrobię wyprawę śladami Wandy. Najpierw w kwietniu wejdę na Kangczendzongę. Potem na Broad Peak. Już na nim wprawdzie byłam, ale Wanda miała tam dwie nieudane próby. Jedna okupiona była śmiercią przyjaciółki, druga – narzeczonego. Chciałabym więc dokończyć to wejście za Wandę. A potem chcę pójść na K2 i przypomnieć Wandy największy sukces.

Czyli spróbuje pani wejść na K2 już po raz piąty?

No tak. Jak by nie liczyć, tak wychodzi. Ale dwie pierwsze próby były zupełnie niedojrzałe. W 1986 r. działałam na zbyt trudnej drodze i dopiero próba z 2005 r. była zaawansowana. Wtedy niewiele mi zabrakło.

Na K2 weszło dotąd 6 kobiet, z których pięć już zginęło. Szósta doznała poważnych odmrożeń.

No tak, to prawda. Wiem.

A ilu pani przyjaciół zginęło?

Z mojego pokolenia większość. Większość tych, na których się wzorowałam.

I to pani nie zniechęca?

Ja to akceptuję, ryzyko jest wpisane w ten biznes. Często nie jest to wynik naszych błędów. My po prostu działamy w bardzo groźnej przyrodzie. Góry mogą wszystko.

Jak pani to zrobiła, że do tej pory żyje, choć oni wszyscy już nie?

No właśnie, nie wiem. Uważam, że trzeba uparcie walczyć o szczyt, ale jednak nie za bardzo. Póki żyła moja mama, miałam z nią taką umowę, że nie będę ryzykować ponad miarę, że nie będzie dnia, w którym ktoś do niej przyjdzie i powie: no wie pani, niestety... I dlatego miałam stosunkowo dużo wypraw nieudanych.

Ale miała też pani wiele wypadków – trzy wstrząsy mózgu, dwie poważne kontuzje kolana, nawet złamany kręgosłup. W tym roku uszkodziła pani rękę...

Rzeczywiście, trochę tego było. Ale zawsze ciężko pracowałam przy rehabilitacji, więc nie mam po tych wydarzeniach jakichś poważniejszych ograniczeń. Wypadek z kręgosłupem wydarzył się, gdy byłam jeszcze bardzo młoda i wcale nie w Himalajach, a przy treningu na bunkrach pod Warszawą. Tegoroczny wypadek na Gasherbrumie był w dużym stopniu wynikiem złej pogody. Kończył się już sezon, lodowiec był w fatalnym stanie, rozmiękły, popękany, kruchy. Poślizgnęłam się, przeciałam przez lodowy próg, wybiłam rękę z barku. Ból okropny. Ale musiałam z tego lodowca zejść sama. Potem w bazie helikopter i lot do szpitala. To było ostrzeżenie, moment zastanowienia. O śmierć wcale się nie proszę. Życie ma dla mnie olbrzymią wartość, jak trzeba, to walczę o nie jak zwierzę.

Ale w łóżku go pani nie odda?

Nie, w łóżku nie. Raczej jak kowboj, raczej w butach.



A NNA CZERWIŃSKA urodziła się w 1949 r. w Warszawie. Z wykształcenia farmaceutka, w 1976 r. uzyskała tytuł doktora. Swoją zawód porzuciła jednak dla gór. Od 30 lat wspina się w Tatrach, Alpach, Karakorum i Himalajach. Brała udział w wielu wspinaczkach w zespołach kobiecych (m.in. północna ściana Matterhornu latem i zimą, pierwsze kobiece wejście na Rakaposhi, 7788 m n.p.m., i Nanga Parbat - 8126 m n.p.m.). Jest pierwszą Polką, która zdobyła Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty wszystkich siedmiu kontynentów, i drugą, która weszła na Mont Everest (2000 r.). Zdobyła osiem spośród 14 ośmiotysięczników. Opublikowała sześć książek o tematyce górskiej i była współautorką dwóch książek z cyklu „Za horyzontem“ wydanych przez „National Geographic Polska“.

Które wyprawy były dla pani kluczowe, stanowiły zwrot?

Pierwszym zwrotnym punktem był w 1975 roku udział w wyprawie w Karakorum na Gasherbrumy. To było moje pierwsze wejście w wysokie góry. Okazało się zresztą klęską, szczytu nie zdobyłam, rozwaliłam sobie kolano. Ale trzeba pamiętać, że mój wcześniejszy rekord wysokości to zaledwie 3200 m. A tutaj baza była na 5 tysiącach, a ja weszłam na 7400. Zobaczyłam wówczas, że mam power. Najbardziej dumna jestem z kobiecego wejścia na Nanga Parbat, no i oczywiście z Everestu. Dopiero po Evereście zdałam sobie sprawę, jak daleko mogę przesunąć poprzeczkę.

Rodzice też się wspinali?

Nie, skąd. To była porządna rodzina prawdziwych mieszczuchów. Tatę straciłam



wcześnie. Miałam 19 lat i właśnie kończyłam kurs taternicki, gdy zmarł na serce. Nie dbał o siebie, palił papierosy, miał nadwagę. Dla mamy Everestem było wejście do Doliny Pięciu Stawów. Ale akceptowała moją pasję, wspierała mnie w zdobyciu Korony Ziemi, pomagała pisać książki, była moją przyjaciółką.

Często powtarza pani, że normalne życie jej nie odpowiada.

No nie, normalne życie – nie. Nudzi mnie. Nie jestem typem rodzinnym. Zawsze byłam bardzo wyczulona na wszelką dominację, więc jak tylko w związku wyczuwałam coś takiego, to natychmiast wiałam. A z kolei facet gapa też mnie nie interesuje. Na kozetkę do psychologa nie chodzę, więc nie wiem, dlaczego nie umiałam stworzyć trwałego związku. Rodziny nie założyłam, trochę nad tym boleję, ale też dzięki temu nie mam dziś obowiązków wobec męża, dzieci, teściowej. A codzienne chodzenie do pracy? Nie wyobrażam sobie. Ja bym tego po prostu nie zniosła. Jestem bardzo niepokorna, nie zniosłabym szefa, który by się mnie czepiał. To co ja mam robić na nizinach? Więc wracam z wyprawy i zaczynam szukać sponsorów i zarabiać, żeby znowu wyjechać. Większość wypraw sfinansowałam sama. Korona Ziemi kosztowała mnie około 120 tysięcy dolarów. A zrobiłam ją bardzo oszczędnie.



Anna Czerwińska w trakcie wyprawy na K2 i Makalu (z lewej).

Nie chce pani chodzić do pracy, szefa mieć nie chce, to jak pani zarabia takie wielkie kwoty?

W latach 90. założyłam firmę, sprowadzałam komputery z Singapuru i ciuchy z Indii. W szczytowym momencie miałam cztery sklepy i hurtownię. To było bardzo dochodowe. Poza tym dziś mam sponsorów.

Czyli jednak sport dla bogatych?

No, trochę tak. Ale gdybym chciała kupić jacht, żeby np. opłynąć świat, to kosztowałoby to przecież bez porównania więcej.

Kiedy pani skończy zaplanowane 10 ośmiotysięczników? Nie wymawiając,

ma pani już za sobą 57. urodziny...

Ojej, jest pani zdania, że to tak dużo? Na 10. ośmiotysięcznik planuję wejść w następnym sezonie. Ale może potem będzie ich jeszcze więcej? Może 14? Nie wiem. A może będę robić coś jeszcze innego. Ostatnio kolega kajakarz zaproponował mi, żebyśmy przepłynęli Bałtyk. Zobaczą. Gdy mnie pytają o Koronę Himalajów, odpowiadam, że zrobiłam Koronę Ziemi i to wystarczy. Bardzo się z niej zresztą cieszę. Byłam w Australii, na Nowej Gwinei, na Antarktydzie. Gdyby nie ten plan, pewnie ciągle dreptałabym tylko po tych Himalajach i Karakorum. A to w końcu też robi się nudne. ■

TRZEBA
UPARCIE WAL-
CZYĆ O SZCZYT,
ALE JEDNAK NIE
ZA BARDZO.